Nr. 15. Lwów, — 1896. r. Wydawnictwa Rok XIX.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i 1. każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek**, wychodzące dwa razy na miesiąc: 8., i 23. oraz **bezpłatne premie.** Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem i premiami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki*. W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce półrocznie 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce połudn,. w Brazylji. Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za miejsce jego. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych,* lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora:

Właściciel i naczelny redaktor: M. Dzikowski — Chamski.

Od Administracji.

Prosimy o rychłe odsełanie bieżącej i zalegającej prenumeraty, gdyż zadawniono rachunki, są bardzo uciążliwe dla wydawnictwa również, jak upominania się przez osobne karty korespondencyjne. Umieszczać chyba będziemy zmuszeni drukowany wykaz zalegających z opłatą w numerach pism naszych, bo opieszałość taka naraża nas na stratę. Wszelki należytości nadesłać należy przekazami pocztowymi do *Administracji „Gońca i Iskry“ we Lwowie, ulica Kraszewskiego 23.*

Od Ekspedycji.

Do Nr. 15. *Gońca i Iskry* dołącza się Nr. 14-ty *całkowicie* illustrowany, oraz numer bieżący *Wesołego Kurjerka.* Następny numer *Wesołego Kurjerka* całkowicie illustrowany dołączony będzie do Nr. 16-go *„Gońca i Iskry“* zaś Nr. 13 *„Gońca i Iskry“* musiał być tymczasowo wycofany z ekspedycji i posiadając oddzielną treść literacką, dołączony będzie do jednego z najbliższych numerów.

Od ręki.

= Państwo dziadów.

Dziennik japoński „Kokunin“ zamieszcza nteresujący artykuł o gminie dziadowskiej, która przebywa w lesie w prowincji Shinrno. Gmina ta istnieje już od lat 70 i liczy 300 członków, między nimi wiele kobiet i dzieci. Na czele gminy stoi „król“, mężczyzna lat 60, który posiada nieograniczoną władzę, lecz mimo tego żebrze również, jak inni. Podczas pogody śpią żebracy pod gołem niebem, tylko w zimie. lub podczas deszczu stawiają wieczorem namioty z grubego japońskiego papieru, nasiąkniętego oliwą. Rano zwijają obóz i pakują wszystko w pudła i paki, aby zatrzeć wszelki ślad po sobie. Następnie rozbiegają się po wsiach okolicznych, chodząc po prośbie, aby wieczorem zebrać się w lesie, zgotować wspólnie wieczerzę, jeść, rozmawiać, śpiewać, pić itd. Przy tem umieją — jest to jedną z głównych ustaw ich „króla“ — zatrzeć ślady każdorazowego noclegu tak umiejętnie, iż jeszcze przed niewielu laty, nawet mieszkańcy wsi okolicznych nie mieli pojęcia o istnieniu tego państwa dziadów. Zresztą, żebracy ci, chociaż wielu z nich było dawniej szulerami, złodziejami itp., unikają podobno kradzieży i innych przekroczeń przeciw prawu, przynajmniej we wsiach, z których dobroczynności żyją. Gdy nowicjusz zgłosi się celem wstąpienia w skład tego państwa, musi najpierw „królowi“ opowiedzieć obieg swego życia, poczem tenże rozstrzyga o jego losie; „królowi“ przysługuje również prawo do wykluczenia niezdolnych członków, do załatwiania sporów, do karania itd. Nikt nie śmiałby stawić oporu wyrokowi „króla“. którego powaga polega na tem, iż jest założycielem tego państwa, gdyż pierwszy zamieszkał tam w lesie, werbując coraz więcej zwolenników rzemiosła dziadowskiego. Żebracy ci umieją nawet sporządzić sobie gorącą kąpiel. bez której żaden japończyk obejść się nie może. Do tego używają znów papieru, nasiąkniętego oliwą, który, w ogóle, w gospodarstwie domowem tych żebraków odgrywa rolę. Wykopują rów na pięć stóp głęboki i wyściełają starannie jego ściany wspomnianym papierem. Następnie napełniają rów wodą i wrzucają do niej kamienie, rozpalone poprzednio w ogniu, dopóki woda nie osiągnie dostatecznej temperatury.

Dr. Godzimir Małachowski.

Prezydent miasta Lwowa

(Do portretu zamieszczonego w Nr. 14. „Gońca i Iskry“).

Niespodziewanie dr. Godzimir Małachowski został prezydentem naszego miasta. Wprawdzie, wymieniano go, jako kandydata, ale to się działo jeszcze w tym czasie, kiedy różne kandydatury prezydenckie były przedmiotem dyskusji i omawiań naszych stronnictw mieszczańskich, a może lepiej kotery). Faktem jest, że dr. Małachowski, ze swej strony, ani jednem mrugnięciem oka nie starał się o tę godność obywatelską. Zbieg okoliczności był tym razem bardzo przychylny dla tutejszych stosunków miejskich, które, doprawdy, potrzebują energicznej i znającej się na sprawach ręki. aby wiele rzeczy przyprowadzić do porządku i zająć się tak gospodarstwem miejskiem, aby na tem zyskiwała rok rocznie publiczna zdrowotność, wygody mieszkańców i wygląd miasta. Obok tego, Lwów dziś szczególniej potrzebuje przedstawiciela, nietylko silnej ręki. ale silnej, a wszechstronnej inteligencji — męża, któryby wiedział i odczuwał, nietylko nasze potrzeby materjalne, ale duchowe i narodowe.

Głęboko jesteśmy przekonani, że dr. Godzimir Małachowski godnie wypełni swoje obowiązki i rządy jego w kronikach miasta Lwowa zapiszą się dodatnio. pożytecznie i chlubnie.

Zamieszczając wizerunek w numerze 14 Gońca i Iskry nowego prezydenta naszego miasta, nie uważamy nawet za stosowne pisać mu życiorysu z przeszłości, bo dr. Małachowski, w najpiękniejszych latach męskich, na tem właśnie stanowisku, na którem się obecnie znajduje, spożytkować może i z pewnością spożytkuje to, co przez rzetelną pracę do tego czasu zdobył, a więc swoją wiedzę zawodową, jako prawnik, naukę, niezwykłe wszechstronne wykształcenie i tę praktykę z życia, która daje poczucie miary, taktu, umiarkowania, wyrozumiałości i siły.

Nowy prezydent Lwowa należy do najbardziej wykształconych obywatelu w mieście. Literatura i sztuka, nietylko mają w nim orędownika, ale i doskonałego znawcę, a sprawy przemysłowe bezwarunkowego i szczerego opiekuna.

Charakter zacny i rycerski, formy wykwintne dobrze wychowanego człowieka, są towarzyskiemi zaletami nowego prezydenta Lwowa, zaletami, które na takiem stanowisku są niezmiernie ważnym artrybutem osobistym zwłaszcza, że przy tem wszystkiem, dr. Godzimir Małachowski posiada talent wymowy, nietylko pod względem krasomówczego stylu, lecz jędrności i tej argumentacji, która się opiera o grunt głębszy.

Żywa też sympatja najszerszych kół, nietylko naszego miasta, lecz całego kraju otoczyła nowego prozydenta Lwowa na jego stanowisku i towarzyszyć mu, niezawodnie, będzie bez przerwy, ufna w jego najlepsze chęci, w jego energję, sprawiedliwość i rzetelny patrjotyzm polski, który jest pryncypalną ozdobą osobistego charakteru nowego prezydenta stolicy tej części Polski, której pozwolono żyć i oddychać swobodniejszem powietrzem i przeciwstawiać swoją pracę tym wrogom naszym, którzy narodowi polskiemu szkodzą i nie mogąc go zniszczyć, starają się osłabić.

Jesteśmy tylko odgłosem najszerszych sfer obywatelskich. wołając z głębi serca szczęść Boże zacnej i zbożnej pracy nowemu prezydentowi miasta Lwowa!

Drzewo modlitwy.

Jeszcze dziś tak zwą drzewo, którego nie zdołano zaliczyć do żadnej grupy roślinnej — drzewo głośne, przez długi czas uważane za legendowe, które rośnie, istotnie, w klasztorze buddyjskim w Goumboum, w północnej części Tybetu.

Nie ma nic równego w świecie — twierdzą podania chińskie, wiernie powtarzane przez podróżnych. Istotnie, nie widziano nigdy drzewa, któreby, jak to, miało na liściach wyrazy i całe modlitwy, nie wypisane ręką ludzką, lecz zdające się wyrastać razem z gałązkami, powiększać się w miarę, jak one się powiększają i ginące wraz z niemi.

To bajka, tak utrzymywano, gdy fakt ten stał się wiadomym w Europie. Było to twierdzenie, co prawda gołosłowne, ale jak sprawdzić fenomen? Tybet był ściśle zamknięty dla europejczyków i bez narażenia się na wielkie niebezpieczeństwo nie można było zaawanturować się w tą okolicę. Znaleźli się, jednak, śmiałkowie, którzy odważyli się na to. Wymienić tu można misjonarzy Huca i Gabeta, Przewalskiego, Potanina, Grenarde i

świeżo przybyłych stamtąd Bonvalota i księcia Henryka Orleańskiego.

Oto co O. Huc opowiada o głośnem drzewie w Goumboum w swych podróżach, ogłoszonych drukiem w 1850 r.

„Goumboum — znaczy po tybetańsku: dziesięć tysięcy obrazów. Nazwa ta zawiera aluzję do drzewa, które, jak twierdzi legenda, powstało za czasów Tsonh-Kaby, wielkiego reformatora XV wieku.

„Tsong-Kaba, dziecko cudowne, urodzone z pasterki podczas snu na kamieniu, na którym była wyryta modlitwa na cześć Buddy Calcya-Mouni, zrobiło postanowienie poświęcenia się życiu klasztornemu. Matka ostrzygła mu głowę i porzuciła włosy u wejścia do namiotu. Wyrosło z nich drzewo, które wydawało prześliczne zapachy i na każdym liściu posiadało urywek modlitwy.

„Drzewo to istnieje dotąd, niedaleko głównej świątyni buddyjskiej w dużem podwórzu, zamkniętem ze wszystkich stron ceglanym murem.

„Spojrzenia nasze najpierw skierowaliśmy z pożądliwą ciekawością na liście i osłupieliśmy ze zdziwienia, widząc istotnie na każdem z nich wyraźne pismo tybetańskie. Pismo to jest koloru zielonego, niekiedy ciemniejsze, niekiedy jaśniejsze od liścia. Najpierw zrodziło się u nas podejrzenie, iż to podstęp lamów, ale przy dokładnem badaniu, nie odkryliśmy ani śladu oszustwa. Pismo wydawało się częścią liścia, jak żyłki na nim. Szukaliśmy napróżno klucza zagadki. Pot wystąpił nam na czoła“...

O. Huc, jak widzimy z tego, nie był dalekim od wierzenia w cud. Dalej pisze:

„Inni, zręczniejsi ode mnie, może wyjaśnią tę tajemnicę. Ja musiałem się tego wyrzec“.

Drzewo „modlitwy“ istniało więc rzeczywiście. Potanin i Grenard potwierdzają to. Jedni zaczęli utrzymywać, iż plamy naskórka liści układają się w sposób przypominający pismo tybetańskie. Inni fenomen przypisywali gąsienicom z gatunku „tortrix“. I jedno i drugie wydawało się jednak mało prawdopodobne i ostatecznie zdecydowano się na to, iż lamowie, chcąc zwabić pobożnych pielgrzymów do Goumboum, byli sami wynalazcami modlitw na liściach. Najświeższe obserwacje zdają się potwierdzać tą ostatnią hypotezę. Na ostatniem posiedzeniu stowarzyszenia naturalistów francuskich, Edward Blanc, konserwator lasów, zawiadomił, iż miał sobie dostarczoną parę miesięcy temu gałęź z „drzewa modlitwy“ i badał ją szczegółowo. Istotnie, tylko prości pielgrzymi są dopuszczani za skromną ofiarą do podziwiania cudownego drzewa, natomiast milionerom wolno zabierać gałązki mniej, lub więcej duże. Jeden z takich odłamków dostał się Edwardowi Blancowi. Stwierdził on najpierw, iż pismo posiada rysunek wyraźny i to obala przypuszczenie, iż mamy do czynienia z fenomenem natury.

Badając gałęź, której powłoka zewnętrzna kory zaczyna odpadać na warstwach spodnich, widać pismo koloru jasnego, zupełnie poprawne. Można przekonać się, iż następne warstwy są poznaczone takiemiż napisami, jednakiej wielkości i koloru. Rzecz widoczna, iż nie mogą one być dziełem owadów. Tylko ludzie mogli tu je stworzyć z pomocą jakiegoś dowcipnego pomysłu. Jakiego do tego użyto sposobu? P. Edward Blanc wskazuje kilka. Każdy wie, iż umieszczając na owocach w fazie wzrostu wzór z papieru, na jabłkach np., ukazują się na nich desenie wycięte. Petersburskie Towarzystwo geograficzne, które również w tych czasach zajmowało się daną kwestją, skłania się ku mniemaniu, iż pismo na „drzewie modlitwy“ powstaje za pomocą deseni wyciętych „à jour“ i przykładanych do rozmaitych organów roślinnych. Są też jeszcze inne sposoby. Litery, zrobione z metalu i mocno rozgrzane, przyłożone do zielonej gałązki, wywołują odpowiednie swym kształtom nabrzmienia w słojach. Być może zresztą, iż kapłani z Goumboum wynaleźli jakiś specjalny przyrząd do tej wielce dla siebie zyskownej operacji. Tak, czy owak, oszustwo wchodzi tu w grę niewątpliwie.

I oto jeszcze jedna legenda znika przed światłem nauki, piękna legenda o „drzewie modlitwy“, które wyrosło z włosów Tsong-Koby.

ZYGMUNT KACZKOWSKI.

(Portret zamieszczony w Nr. 14. *„Gońca i Iskry“*).

„Exegi monumentum aere perennius...“

Od tych słów wypada nam rozpocząć, gdy z „trwalszego od miedzi“ pomnika Zygmunta Kaczkowskiego, zamierzamy odsłonić przed wami kilka fragmentów i odświeżyć w pamięci waszej jego dzieła. Z wielkiej skarbnicy myśli i obrazów zaczerpnęliśmy tylko garść skromną. Sądzimy jednak, że ona lepiej od wszelkich wspomnień zarysuje w pamięci czytelników naszych postać znakomitego pisarza. Dziś osnute w żałobne wieńce, kir i krepę fragmenty owe, tem silniej przemówić powinny do wyobraźni, która obrazy te wydobędzie wypukłej i barwy ich przymgli, lub rozjaśni. Oto więc „Sodalis Marianus“ — towarzysz Marji, śni przed obrazem Matki Przenajświętszej; oto scena porwania z „Murdeliona“, pełna rozmachu zawadjackiego; oto obrazek rodzajowy godów weselnych z „Ernci ślubnych“, oto, wreszcie, groźny obraz śnieżycy z „Wnucząt“... Wraz z portretem zmarłego pisarza wiązankę tę ofiarujemy naszym czytelnikom, jako przypomnienie i pamiątkę żałobną.

„Sodalis Marianus“.

Za chwilę potem lampka oliwna zagasła — a wśród ciemności cisza zaległa komnatę...

Ale jemu się zdało, jakoby było jasno koło niego. I widział jawnie, że się znajduje w kościele, w którym po obu stronach przy ścianach stały szeregiem marmurowe grobowce Sieniawskich: grobowce czarne, czerwone i białe, a na ich wiekach wspaniałe, wzniosłe, cześć przejmujące posągi. Ten kościół zna on, jak swoją własną komnatę, ale tak jeszcze go nigdy nie widział. Albowiem teraz noc była, a od rotundy sklepienia spuszczał się siedmioramienny kaganiec, który silne czerwone rzucając światło, napełniał kościół jakąś atmosferą nieziemską. Wspaniałe to były blaski, ale groźne zarazem — jasne to światło, ale gorące, odurzające, piekielne. I była cisza jeszcze w tej chwili, ale czuć było w tej ciszy jakoby szmer jakiś podziemny, jakąś woń zagrobową, jakby poprzedzającą zbliżanie się duchów, oddawna mieszkających na ziemi. Jerzy to czuł i był pełen przerażającej trwogi. Wiedział on o tem, iż przyszedł tutaj, ażeby uklęknąć przed ołtarzem z Zosią, ale teraz dopiero przeczuł, jacy to goście weselni mają być na tej uroczystości przytomni! Jakoż istotnie za małą chwilę silny wicher zawiał przez kościół, zadrżały marmurowe grobowce, a na środku kościoła zaczęli się jawić starożytni rycerze, starcy poważni w deliach, młodzieńcy w strojach hiszpańskich, francuskich, włoskich, matrony w sztywnych robronach, niewiasty młode w aksamitnych kaftanach, długich sukniach jedwabnych i czubach. Widok tych twarzy, na pozór żywych, a przecież tak śmiertelnie wybladłych, tych oczu, niby błyszczących, ale jakiemiś dziwnie strasznymi blaskami, tych całych postaci zresztą ruszających się, stąpających po ziemi, a przecież jakoby bez krwi i ciała, przejął go takiem drżeniem wewnętrznem, że się zachwiał na nogach, ręce do czoła przyłożył i sam nie wiedział, ma li iść naprzód, albo we drzwi uderzyć i zniknąć. Już tam pomiędzy tymi weselnikami z za grobów stała cała rodzina Sieniawskich, już hetman sam kłaniał mu się z ich środka i ręką zapraszał ku sobie, już Zosia stała u jego boku wystrojona w kwiaty i kwefy weselne, już nawet ołtarz zapłonął światłami, biskup stał przy ołtarzu i z chóru odezwały się w kilka tonów organy, a on jeszcze się wahał i chwiał się, patrząc przed siebie grozą napełnionemi oczyma Nareszcie wstrząsł się, zrobił krok jeden i drugi, lecz nagle stanął. Jakiś przedmiot uderzył go z boku tak silnie, że musiał się zatrzymać. Obrócił się ku tej stronie, przypatrzył się bliżej — i dziwna rzecz, co tam obaczył. Ściana kościelna z tej strony całkowicie wypadła i było widać w tem miejscu ogromną przestrzeń, niknącą w dali. Przestrzeń ta była zalana, jakby mgłą przedświtową, czuć było rzeźwe poranne powietrze, a w dali niebo się rumieniło, jakoby pochód jakiegoś wojska, jakby zalatujący zdaleka szczęk broni, parskanie koni, wianie sztandarów w powietrzu. Jerzy rozpatrzył się jeszcze lepiej i ujrzał najpierw występujące dwie jak najlepiej sobie znajome postacie. Był to rotmistrz Piotr Wiszowaty i jego nieodstępny przyjaciel, tak zwany Murża tatarski. Obadwa mieli burki kudłate na sobie, czapki konfederackie na głowach i szabliska u boku, byli widocznie zmęczeni i uznojeni, jakoby po jakimś trudzie najcięższym, ale stali tak prosto i sztywnie, jakoby teraz dopiero co zestąpili z grobów. Jednakże, obaczywszy Jerzego oczy obrócone ku sobie, podnieśli razem swoje prawice, grożąc mu niemi po kilka razy w powietrzu. Widząc to, Jerzy zadrżał i osłupiał na chwilę, ale wtem rotmistrz zaprzestał grozić, a wtomiast wskazał mu ręką we mgłę. Jerzy poszedł oczyma za jego ręką i jeszcze daleko dziwniejszą rzecz tam obaczył. Albowiem już się te mgły poranne przerzedziły cokolwiek, a z nich wystąpił cały pułk Sodalisów, zbity w silny czworobok i ubrany tak, jakby był gotów do marszu. Nad błyszczącymi bagnetami szeregów powiewał sztandar z obrazem Matki Najświętszej, a przed frontem stał koń osiodłany, którego za cugle trzymał sam własną ręką Polewka. Widok ten, na którego ostatniem tle coraz jaśniej rumieniło się niebo, obiecując za lada chwilę wschód słońca, tak pochwycił młodzieńca za serce, że już się rzucił ku niemu i zrobił jeden krok naprzód, ale w ten moment znów się zatrzymał. Zdawało się, jakby go owe czarowne światło zawiało, odurzyło mu zmysły i zamieniło go w posąg kamienny. Jednakże właśnie w tej chwili Polewka z koniem ustąpił na bok, pułk Sodalisów rozpruł się środkiem na dwie połowy i otworzył jakoby szpaler przejrzysty. Jerzy spojrzał w ten szpaler i obaczył tam dwie całkiem nowe postacie. Mąż jakiś dosyć sędziwy prowadził za rękę jakąś postać niewieścią i postępował wolnym krokiem ku niemu. Mąż ten miał kontusz i żupan na sobie, jak wszyscy, ale twarz miał dziwnie zapadłą i wynędzniałą, a do tego ranę otwartą w piersi, z której krew się lała strumieniem, brocząc czewonemi plamami jego poważne szaty. Niewiasta była ubrana w bieli i miała wieniec zielony na głowie: cyprys, czy mirty? nie można było rozpoznać.

Była wszakże tak piękną i tak błyszczała w całej pełni rozkwitła, zachwycającą urodą, że mogła raczej samą śmierć zbudzić i powrócić do życia, niżeli wnosić na ziemię chociażby tylko wspomnienie grobów. Tak szli oboje wprost na Jerzego, a kiedy starzec wyciągnął rękę ku niemu, jakoby mu chciał podać szkaplerzyk, który w niej trzymał, mgły się już całkiem rozstąpiły nad nimi i słońce wzeszło na niebie, rozsypując całe bogactwo swych blasków po ziemi. . Obaczywszy te dwie postacie w promieniach słońca, poznał je Jerzy natychmiast: był to jego ojciec nieboszczyk i zapomniana przez niego Kostusia. Jakoż, jak gdyby jakaś nadziemska siła nim zawładnęła, rzucił się zaraz ku nim, pochwycił szkaplerz ojcowski i upadł w jego objęcia...

I rzucił się tak gwałtownie i silnie, że te wszystkie straszliwe widzenia zniknęły nagle z przed jego oczu, jak gdyby się w ziemię zapadły, a on stał na środku komnaty, był tak samo ubrany jak wczoraj, tylko w swej ręce konwulsyjnie ściśniętej, trzymał swój własny, zawsze na piersiach noszony szkaplerzyk. Rozejrzał się naokoło siebie — była to jego własna komnata, dzień już był wielki, a jasne słońce grzało w obadwa okna tak skwarnie, jak gdyby już było gdzieś niedaleko południa. Jednakże nim się otrzeźwił zupełnie i mógł sobie przypomnieć, co się z nim działo przed całą noc, ujrzał przed sobą swego wiernego Polewkę, który przed małą chwilką wbiegł do komnaty,

zatrzymał się niedaleko ode drzwi i patrzał na niego dziwnie wystraszonemi oczyma.

— Czego ty chcesz, mój Polewka? — zapytał Jerzy.

— Panie generale! — rzekł tenże — co panu? wmpan spałeś przez cały ranek pod obrazem Matki Najświętszej, a teraz się zerwałeś tak nagle, jak gdyby cię żmija ujadła?

„MURDELIO“.

Tedy za radą Gintowta przybrałem się w kontusz i żupan, który na mnie cieżył i gniótł mnie jak pancerz; wlazłem w hajdawery tak wielkie, żebym mieszkać mógł był w nich i podzielić je na pokoje; włożyłem czapkę na głowę, uzbroiłem się w cierpliwość i pokorę, wsiadłem na koń i pojechałem do pana Wita. Wszedłszy do izby, stanąłem przy drzwiach i pokłoniwszy się panu stryjowi do kolan, przepraszałem za to, że obyczajami zagranicznymi zepsuty, za moją pierwszą bytnością u niego nie umiałem się znaleźć tak, jak na przyzwoitego młodzieńca w kraju przystało. Pan Wit się na mnie popatrzył, rozparł w boki, nadął się jak pęcherz i powiedział mi srogie kazanie. Ale ja już byłem najpokorniejszym sługą stryjaszka dobrodzieja. Przyszła panna, zarumieniła się, nie wiele mówiła, ale była śliczna, jak anioł. Bawiłem się tam przez dwie godzin i musiałem się nieźle sprawować, bo stryjaszek dobrodziej rzekł mi przy pożegnaniu: — Widzisz waść, mosanie! i ja umiem po francusku i po niemiecku, umiem po łacinie, czego ty nie umiesz, mam to samo nazwisko i ten klejnot co ty, i fortuna moja mi tak dobrze a może jeszcze lepiej wystarcza, jak tobie; mam nadto jeszcze siwiznę i niemałe zasługi w swoim. ba! i w obcych krajach, czego ty nie masz i może zgoła nigdy mieć nie będziesz -- a przecie ludźmi uczciwymi nie pomiatam i znam respekt dla starszych! — To rzekłszy, pożegnał mnie.

Odtąd bywałem tam często, prawie dwa razy na tydzień. A trzeba wam wiedzieć, że ja dotychczas nigdzie nie bywałem i z nikim nie żyłem; wieść więc o mojem bywaniu u pana Wita runęła piorunem na okolicę; powiedziano, że konkuruję o jego córkę, że się już żenię. To mnie gniewało. Postanowiłem koniec położyć tym plotkom. A ponieważ uważałem, że mi panna niekrzywa, jako że i pan Wit dosyć ku mnie skłoniony, więc kazałem sześć koni założyć do karety, wziąłem Gintowta i dwudziestu kozaków z sobą i pojechałem z przedsięwzięciem zrobienia deklaracji i wzięcia ślubu natychmiast. Kiedym wszedł do izby, pyta mnie stary: — Dla czegóż waść tak paradnie? — Ponieważ ja nie umiałem jeszcze dobrze po polsku, ani nie znałem się na dziwnie pięknych retoryki polskiej figurach, więc Gintowt poczawszy od tego, jak Pan Bóg rodzaj ludzki w arce Noego od potopu wybawił, uciął mowę sążnistą i skończył na tem, że ja proszę o rękę pana Wita córeczki. Pan Wit tego pięknie wysłuchał, wąs poprawił, czuprynę pogładził, lewą rękę za pas włożył, a prawą gestykulując do mnie i do pana Gintowta, odciął znowu kubek w kubek takuteńką oracją i ani jednego słowa nie został mi dłużen. Bardzo to ładny obyczaj. Treść atoli tej mowy była taka, że lubo on wcale nie miałby nic przeciw temu marjażowi i owszem, widzi w nim palec Boży, który zagładza familijne krzywdy i niezgody, jednakże zamało jeszcze zna kawalera, żeby mógł dziecko swoje powierzyć. Niech kawaler, prócz panem, stara się być także sąsiadem i obywatelem, niechaj mnie słucha, niech mi się aplikuje, niechaj bywa w moim domu, aby się dzieci przyzwyczaiły do siebie, to się może i zrobi. — Pan Gintowt wyraził panu stryjowi moją niecierpliwość, moją bytność u króla, jego łaski i tak dalej, ale pan stryj odpowiedział na to, że od jego dekretu nie ma apelacji żadnej, bo on jest sam grodem i ziemstwem i trybunałem i królem w tej sprawie.

Kiedyśmy odjeżdżali powiedziałem Gintowtowi: — Ej! co tam będę się dał za nos wodzić szlachcicowi, zajazd zrobię i pannę zabiorę. — Gintowt radził cierpliwość i prosił o zwłokę jeszcze na kilka miesięcy. Przystałem. Bywałem znów w domu pana Wita. Aplikowałem mu się, ale jednakże więcej pannie, która już swojej miłości nie taiła przedemną. I znów trwało to kilka miesięcy; pan Wit stawał się coraz nudniejszy, coraz to więcej wymagający, począł mnie egzaminować o moje interesa, o gospodarstwo, o inne sprawy, począł dawać rady swoje, ba! dyspozycje. . ja się ciągle aplikowałem. Ale nakoniec i sam djabeł utraci cierpliwość! jednego wieczora wypaliłem mu taką replikę, że szlachcic zgłupiał z kretesem. — Bunt, mospanie, bunt przeciwko mnie podnosisz! — zawołał on do mnie. — tym razem daruję, ale na drugi raz... pamiętaj! — Na drugi raz ja już buntu nie podniosłem, ale stała się rzecz taka: Kiedym tam przyjeżdżał bywało zwykle, żem najpierw ze starym rozmawiał z jaką godzinę, potem zaś szedłem do panny i siedział tam do wieczora. Stary wtedy czytywał gazetę, albo do gospodarstwa wychodził i do córki prawie nie zaglądał, bo tam była jakaś szlachcianka, która sprawowała urząd ochmistrzyni i posiadała zupełne zaufanie u niego. Ochmistrzyni atoli, co nie zrobiła za dukata, to zrobiła za dwa, co nie za dwa, to za dziesięć, co nie za dziesięć, to za sto, dosyć, że nigdy tam nie było ochmistrzyni. Otóż jednego dnia siedzę ja na kanapie i trzymając pannę na kolanach, w twarz ją całuję, ale jakem Piotrowicz, to nie w żadnej złej myśli, tylko tak dla zabawki; wtem wchodzi stary.

Panna struchlała na miejscu, ale jam się roześmiał w głos. Nie za całowanie, ale za śmiech ten, stary zrobił scenę gwałtowną. Kpał mnie jak żaka, jak szewca, jak hultaja nakoniec. Tego było mi już nadto. Rzuciłem się na niego, chciałem go porwać, związać, wziąść w jasyr do siebie i dopiero traktować o wykupno, albo zamianę jeńca, ale zwinny szlachcic odskoczył i w tym momencie taki mi wyciął policzek, żem upadł na ziemię. Zebrawszy się, chciałem porwać za broń, ale nie miałem pałasza przy boku. W tejże chwili otworzyły się drzwi z łoskotem i wpadło kilku drągalów do izby. — A to co będzie? — zawołałem ze wściekłością do starca. — Dostaniesz sto bizunów! — zawołał tenże. --- Mości panie! — krzyknąłem — taki to sposób wetowania krzywdy u polskiego szlachcica! takie poszanowanie gościnności w tym kraju! — A ty jakże gościnność szanujesz! odkrzyknął starzec. — Ruszajże sobie do stu milionów djabłów i niech tu noga twoja więcej nie postoi, bo nie sto bizunów ci dać, ale powiesić cię każę na suchej wierzbie! — Ja przecież nie dowierzałem tej kapitulacji, tylko czemprędzej obróciwszy się twarzą do okna, skoczyłem przez nie w ogródek, z ogródka pod bramę, gdzie mój koń stał przy kozaku... i uciekłem do domu. I z tego zrobiła się plotka, bo ci drągale powiedzieli, żem nie skoczył przez okno, tylko w kąt izby, tam w myszą dziurę wpadłem, z której za mną tylko dymu kłęb ze smoły i siarki wyleciał i rozszedł się po izbie... i cała okolica uwierzyła tej baśni.

Wróciwszy do zamku, nie było już dla mnie ani snu, ani nocy, ani jadła, ani napoju. Wszystko się gotowało we mnie, drżałem, trzęsłem się cały. Duma obrażona warczała we mnie, jak pies rozdrażniony, złość się pieniła, miłość się wzmogła i targała całem wnętrzem mej duszy. Postanowiłem mścić się na starcu, piekielnie mścić i do śmierci; postanowiłem pannę zabrać, posiąść, zadośćuczynić mym żądzom i przez córkę mścić się jeszcze na ojcu. Jednakże w tem delirium gorączki, żądz, zemsty, złości, miałem chwile, w którym cichy i nieznany mi dotąd, spokojny głos serca odzywał się we mnie. Chciałem wtedy upaść do nóg obrażonemu i rozgniewanemu starcowi: pokornie prosić o rękę panny, ożenić się z nią, pogasić wszystkie gwałtowne ognie, poprzytłumiać szaleństwa, osiąść w domu, oddać się pracy, służbie jakiej dla kraju i stać się takim człowiekiem jak inni, jak wszyscy. Był to głos, który dawał jawne świadectwo słabości ducha mojego, był mi przeto nudny, nieznośny, ale zarazem tyle silny jeszcze, że pomimo wszystkich planów moich ukartowanej już zemsty, musiałem przynajmniej spróbować jemu zadośćuczynić.

W tym celu i duchu napisałem list do pana Wita i odesłałem go przez dworzanina. Pan Wit list odebrał, potem ławę kazał położyć na ziemi, dworzanina na ławę, list na dworzaninie, a na liście odpisał wymowną stu bizunami odpowiedź.

Po odebraniu tej odpowiedzi, w jednym okamgnieniu już byłem na koniu, na czele uzbrojonych pięćdziesięciu kozaków. O zachodzie słońca popędziłem do wsi pana Wita. Kozaków zostawiwszy opodal, sam podjechałem o kilkadziesiąt kroków pod bramę. Trząsłem się cały, wnętrzności darły się we mnie, paliło mi się w mózgu, iskry dymem wylatywały mi z gęby i nozdrzów. Czułem, że djabeł z całą swoją mocą był we mnie. Gdybym był zaraz uderzył, byłbym mur chiński w gruzy powalił, ale ja chciałem dwór jeszcze obaczyć, jego widokiem gładkim się jeszcze rozjątrzyć, abym tem silniej i rozpalczywiej uderzył i tem większą potem miał radość, patrząc na jego ruinę. Patrzyłem więc. I z szatańskim w mej duszy uśmiechem patrzyłem na ów dworek drewniany, jak śnieg bieluteńki, z również białym ganeczkiem o czterech słupkach, na którego czele przybita była Matka Boska Ostrobramska, która ze łzami w oczach i z uśmiechem na licu patrzyła na zielony przed gankiem wyciągnięty dziedziniec, na którym w środku trzy lipy stały z darniowemi ławkami i kamiennym stolikiem pomiędzy sobą. Na dziedzińcu igrały dworskie dzieci ziarnem, którego dość tam było, a gołębie, siedząc trzema wieńcami na lipach, zlatywały na dzieci i pokarmiwszy się z rąk ich pszenicą, nazad podlatywały, siadając każdy na swoje miejsce, aby się wieniec który nie rozerwał. Bzy kwitły natenczas i głogi się rozwijały, przechylając się kwieciem swojem przez płoty, którymi był ogrodzony dziedziniec; trzódki powracały z pola i dzwoniły zdaleka, fletnia się odzywała z za lasu, powietrze pełne woni cudownej rozścielało się dokoła, a słońce, chowając się za góry, ostatnie promienie swoje posyłało na lipy, na dwór i na dziedziniec. Cha, cha, cha! jak to pięknie było! istna bakolika!... Stałem na koniu za krzakami bzu i wina schowany, i patrzyłem, i cieszyłem się, że tu tyle szczęścia, tyle spokoju, tyle niewinnej piękności... i szatan cieszył się we mnie, że to wszystko jest w mojem ręku, że nad tem wszystkiem wisi zemsta moja, i że za chwilę z tego wszystkiego będzie tylko to, co ja chcę... kropla krwi i garść popiołu!... Kiedy tak myślę i różne ognie warzą się w mojej głowie i sercu, i kiedy już tylko co mam uderzyć, dał się słyszeć dzwonek z niedalekiego kościoła, wołający na Anioł Pański. Zaśmiałem się. Zdawało mi się bowiem, jakby który z moich kozaków zakradł się do dzwonicy i sygnaturkę dla konających poruszył. Niebawem jednak ruch się zrobił w dworku, ruch niewielki w dziedzińcu. Gromadka ludzi różnej płci i różnego wieku, pomiędzy nią dzieci nawet, a na ich czele pan Wit z córeczką, wyszła w dziedziniec i ukląknąwszy przed gankiem i obrazem, poczęła się modlić z wielką pokorą. Na ten widok coś mnie zapiekło w sercu, mróz poszedł po ciele. Oniemiałem, ręce i nogi poczęły mi drętwieć, namiętności kładły się jedna po drugiej. A kiedy drugi raz tenże dzwonek się odezwał, mimowolnie skręciłem koniem i w milczeniu odjechałem ku swoim kozakom. Milcząc, ze spuszczoną głową i nie wiem, o czem myślącą, przejechałem pomimo nich i puściłem się stępą drogą ku zamkowi wiodącą. Nie wiem, jak długo tak zamyślony jechałem, jednakże coś wkrótce mnie znowu piknęło, obudziłem się i zaśmiałem się sobie w oczy i z siebie. Potem wpakowałem koniowi ostrogę, zmieniłem front i kopnąłem się całym pędem napowrót do pana Wita. Z całą bandą moją stanąłem pod bramą. Teraz już wszystko wyglądało inaczej... był już wieczór natenczas... słońce już zaszło było... ziemia siniała... księżyc wyszedł na niebo i w lisią czapkę zawinięty, wróżył świętojankę... czeladka wszystka już spała... okna były pootwierane w dworku... cisza była jak na cmentarzu. Popatrzyłem jeszcze raz na ten dworek i szepnąłem kozakom: — Starca i pannę żywcem na koń i do zamku! — uderzyłem i oskoczyłem dom cały. Co się tam gdzie działo po innych stronach, tego nie wiem; jam do pokoju wskoczył, w którym spała panna. Znalazłem ją rozebraną, przestraszoną, klęczącą na łóżku ze złożonemi rękoma. Kiedym wpadł do drzwi, całkiem czarno ubrany i z ogromnem

czarnem piórem u kapelusza. nie wiem, czy mnie poznała, czy nie, ale krzyknęła, padła i omdlała. Wtedy porwałem ją wpół, wskoczyłem na koń i popędziłem do zamku W godzinę byłem już w domu. Panna moja przyszła do zmysłów, drżała jeszcze od strachu i przerażenia i długo milczała. Jednak w kilka godzin przemówiła, uspokoiła się trochę, dopytywała się o ojca, modliła się wiele ustawicznie. Po północy kozactwo moje wróciło. Zapewniali mnie wszyscy, że żaden z nich ojca ani nie widział na oko i że okrom trochy rabunku, nic się nikomu nie stało złego. To pannę uspokoiło jeszcze więcej, jednak nie mogła się ani patrzeć na mnie; o dawnej miłości swojej milczała, ciągle ją wszelkimi sposobami pocieszałem i uspokajałem, przyrzekłem, że wszystko dla niej i jej ojca uczynię, że ją zrobię samowładną i nieograniczoną panią nad zamkiem, nad majątkiem moim, nad mną samym, i byłbym tego niezawodnie dotrzymał, bo krom niej nie było już nic innego w całem sercu i duszy mojej. Ona mnie słuchała, wierzyła i niedowierzała i śród oddawanych mi pieszczot nieraz wzdrygała się przedemną. Jam zapomniał o świecie całym i od stóp do głów stałem się cały miłością.

Tak trwało dni kilkanaście. Śród nich atoli z przyczyny tego wypadku taki się rumor zrobił pomiędzy szlachtą okoliczną, że kilku dworzan moich, których dla szpiegostwa wyprawiałem w sąsiedztwa, coraz więcej zatrważające przywozili mi wieści. Szlachta się burzyła, odkazywała, psy na mnie wieszała, zbierała się i nad czemś radziła. Powiadano, że pan Wit chodzi od dworku do dworku, od zaścianku do zaścianku, że błaga, prosi, zaklina, beczki z winem i miodem stawia po miejscach publicznych i krucjatę na mnie zbiera. Jednego wieczora nawet dano mi znać, że już zamierzają napaść na zamek; postawiłem załogę pod bronią, sam całą noc czuwałem, ale nic nie było. Dnia następnego Gintowt, który przez cały ten czas milczał, przyszedł do mnie i żądał rozmowy na osobności. Kiedyśmy byli sami, rzekł mi: — Pan popełniłeś zbrodnię, *vim publicam, crimen*. Przyszedłem tedy ostrzedz pana, iżbyś rzecz tę w dobry sposób zakończył i przebłagać się starał słusznie rozgniewanego ojca, a ostrzegam pana nietylko dla tego, że sprawka ta gardłem pachnie, ale i dla tego, że jeśli pan się z nim w jak najkrótszym czasie nie oczyścisz, to ani jeden uczciwy człowiek nie zostanie na pańskim dworze. — Ja Gintowta za takie gadanie wyrzuciłem za drzwi, ale pomimo to słowa jego dobrze mi uwięzły w pamięci. Jakoż tego wieczora, znudzony jeszcze naleganiami panny, abym jej ojca, jeżeli nie przywiózł do zamku, to przynajmniej odszukał koniecznie i zachęcony jej obietnicami, że w takim razie uspokoi się się całkowicie i moją zostanie na wieki, wziąwszy kilku kozaków z sobą, pojechałem do dworku pana Wita. Dworek był, ale pana Wita nie było. Pytałem tam, pytałem wszędzie po drodze, nikt mi nic nie odpowiadał. Późnym wieczorem powróciłem do domu... i cóż powiecie na to?

Wjeżdżam do zamku i już na samym wstępie uderza mnie to, że jakaś niezwyczajna cisza w dziedzińcu. Z bijącem sercem i trzęsącemi od złości wargami zeskakuję z konia, wpadam do zamku, przebiegam wszystkie pokoje... nigdzie żywej istoty. Cisza, milczenie, pustka, jakaż tu dżuma dopiero była i wszyscy na nią wymarli. Nie może mi się pomieścić w głowie, co to jest; jestem jak głupi, jak zaczarowany, snem mi się wszystko wydaje. Wypadam na dziedziniec, przebiegam wszystkie kąty, wszystkie oficyny, gumna, stodoły, ogród, piwnice, ruiny... wszędzie ta sama cisza, taż sama głuchota i nigdzie ani żywej duszy. Kozacy, którzy jeździli ze mną na tę wycieczkę, powrócili i także niemniej zdziwieni poglądali po sobie, lecz milczą. Ze wściekłością prawie rzuciłem się na nich, pytając co to? Długo nic nie mówili, aż kiedym jednemu pistolet wymierzył do piersi, zawołał: — Powiem, panie! — Mówże! — krzyknąłem. — Pewnie pan Gintowt wykradł pannę, — mówił kozak — i trochę kozaków zabrał ze sobą, bo już od kilku dni nas burzył. — Gintowt? — krzyknąłem ze wściekłością — o! poczekajże, wraży synu! kruki się twoim ścierwem napaszą!... I do północy rzecz się wyjaśniła. Istotnie tak było. Gintowt spisał moich kozaków przeciwko mnie i, pannę wykradłszy, uciekł. Reszta kozaków i innej służby, która mi wierną została, spostrzegłszy co się stało, wsiadła na koń i popędziła za nimi, ale napróżno. Sto szlachty czekało na granicy wsi moich i porwawszy Gintowta z panną pomiędzy siebie, stawili czoło zamkowej pogoni. Pogoń ta uderzyła na nich, ale bez skutku; kilku z nich padło na miejscu, kilkunastu zaś ranionych i reszta zdrowych powróciła po północy do domu i o tym wypadku szczegółową mi zdała relację. Takim sposobem tyle usiłowań moich poszło na nic z kretesem!...

(Dokończenie nastąpi).

Balsamowanie.

Dr. Vilon, jak donoszą gazety francuskie, dopełnił w Wersalu balsamowania ciała zmarłego niedawno księcia de Nemours. Balsamowanie zostało dotąd w zwyczaju i praktykuje się, gdy pogrzeb zwłok z jakichkolwiek przyczyn ma uledz opóźnieniu.

Balsamowanie było najbardziej rozpowszechnione u egipcjan. Grecy i rzymianie praktykowali je rzadko, woleli bowiem kremację, lub niszczenie zwłok za pomocą ognia. Etymologia słowa wywodzi się od balsamów, których używano w celu uchronienia ciała od rozkładu. W Egipcie środek ten był traktowany szeroko we wszystkich klasach. Operator, za pomocą instrumentu żelaznego otwiera czaszkę, wyjmuje mózg, następnie wydobywał wnętrzności i rzucał je do Nilu. Ciało umyte w esencji cedrowej, nacierano myrrą, cynamonem, żywicą i solą, owijano pasami lnianymi, umieszczano w pudle drewnianem i zwracano rodzinie. Było to balsamowanie zbytkowe, na które pozwalali sobie ludzie możni. Większość poprzestała na zastrzykiwaniu płynów antiseptycznych i nasycaniu solą przez dni siedmdziesiąt. Mumifikacja była praktykowana również na wyspach Kanaryjskich. W Meksyku Humbold oglądał mumifikację naturalną. Ciała hiszpanów i peruwiańczyków, zostawione na polu walki na suchej ziemi w atmosferze niezmiernie gorącej, zeschły się tak prędko, iż stwardniały zupełnie w pozycji, w jakiej znalazły się podczas bitwy.

We Francji niektóre katakumby posiadają własność mumifikacji ciał, przez wpływy chemiczne ziemi i powietrza. Między innemi wymienić tu należy sławne katakumby w Tuluzie.

Balsamowania przez długi czas dokonywano za pomocą ziół aromatycznych. Wyjmowano wnętrzności, omywano ciało octem, alkoholem z kamforą i potem wypełniano próżnię proszkiem, złożonym z kory dębowej, soli chiny, cynamonu i wonnej żywicy, rozpuszczonej w oliwie, sprowadzanej z Afryki. Ciało pozszywane smarowano klejem aromatycznym, złożonym z balsamu peruwiańskiego, gumy, esencji lawendowej i z cząbru, następnie owijano bandażami i składano w trumnę ołowianą

Każdy głośny operator w tym zakresie używał powyższej metody z niektóremi zmianami. W pamiętnikach paryskiej Akademii nauk dr. Falconi oddaje pierwszeństwo nad wszystkimi płynami konserwującymi, solom cynkowym. W ogóle teraźniejsze metody balsamowania polegają więcej na sposobach chemicznych i usunięto już żywicę, która była podstawowym materjałem przy mumifikacji u dawnych egipcjan, używali jej bowiem nawet przy balsamowaniu ciał zwierząt

Gdy zwłoki mają być wystawione na widok publiczny, operator śpieszy się z wyjęciem mózgu i szybko dokonywa trepanacji. Wnętrze czaszki nasyca sublimatem, usta wypełnia watą, odpowiednio spreparowaną i oczy zastępuje szklanem lub z emalii. Niekiedy nawet ucieka się do farb, aby twarzy nadać koloryt żywego ciała.

Osoby, należące do rodziny zmarłego, życzą sobie czasami zachować serce. Operator wyjmuje wówczas ten organ i próżnię zapełnia stosownie przyrządzoną bawełną, serce zaś kładzie w płyn, złożony z alkoholu i sublimatu na dni pięć, lub sześć. Po upływie tego czasu wyjmuje serce suszy, pokrywa warstwą różowego werniksu i składa w naczyniu ołowianem, lub srebrnem.

Ciekawe rzeczy.

Ile jest Müllerów? Pewien statystyk obliczył, że w państwie niemieckiem jest nie mniej, jak 682.191 ludzi, noszących nazwisko Müller, na 73 ludzi przypada po jednym Müllerze.

Bobry rzeczne we Francji bodują się obecnie tylko w jednej rzece Rodanie, lecz w liczbie tak małej, iż są obawy, że w najbliższej przyszłości znikną zupełnie. W ciągu lat kilku syndykat Towarzystwa, pod którego opieką znajdują się tamy, pobudowane w kilku miejscach Rodanu, dawał premje za skóry zabitych bobrów w mniemaniu, że zwierzęta te uszkadzały tamy. Obecnie, dzięki interwencji osób wpływowych, syndykat przestał udzielać premij, lecz nie przedsiębrał żadnych środków w celu ochrony bobrów od niepotrzebnego tępienia i polowanie bez umiarkowania odbywa się na nie po dziś dzień. Teraz już wiadomo, że tamy zrobione z kamieni, nie doznają szkód od bobrów i naturalista Mingeau zwrócił się do odnośnych władz z prośbą, by w najkrótszym czasie wyjednano prawa, zabezpieczające bobry od niechybnego wyginięcia, gdyż zwierze to jest jednym z ciekawych okazów dawnej fauny Francji.

Karta fotograficzna nieba. W obserwatorjum paryskiem odbywał posiedzenie swe po raz czwarty od r. 1887 kongres międzynarodowy karty fotograficznej nieba. Cała ta karta objąć ma około trzydziestu miljonów gwiazd, które mają być uchwycone na 22.000 płyt fotograficznych, dwukrotnie pokrywających całe niebo. Praca ta rozdzielona jest między 18 obserwatorjów, tak, aby wszędzie zdejmowany był obraz zenitalnych jedynie okolic nieba. Obecne zebranie zajmowało się ostatecznem uchwaleniem środków, mających na celu ujednostajnienie robót w oddzielnych obserwatorjach.

Statystyka wyznań. Według obliczeń A. H. Keane'a na kuli ziemskiej chrześcian jest 422,9 milionów. Z tego przypada na Europę 349,3 miliona, na Azję 19.5, na Afrykę 5,1, na Amerykę 116, a na Australię 4 miliony. Wyznawców religii rzymsko-katolickiej jest 223,6, prawosławnej 98,02, ewangielickiej 149,9 milionów; do kościoła ormjańskiego, syryjskiego, koptyckiego, abisyńskiego i malachickiego zalicza się 21,33 miliona. Islam liczy 205,8 miliona wyznawców, z których w Europie żyje 5.75, w Azji 160, w Afryce 40, w Australi 0,025 miliona. Żydów jest 7 milionów, z tego 6 w Europie, 0,26 w Azji, 0,43 w Afryce, 0,30 w Ameryce, 0,015 w Australii. Najwięcej wyznawców liczy bramilizm i buddyzm, bo przeszło 637 milionów, 155,6 ludzi są poganami, z czego przypada na Europę 0.02, na Azję 15, na Afrykę 125, na Amerykę 14, na Australię $1^1/_2$ miliona. W ogólnej przeto cyfrze mieszkańców kuli ziemskiej, chrześcianie stanowią $24^1/_4$%, niechrześcianie $75^1/_4$%.

Lampa żarowa o sile 2,000 świec. Edison Swan Company buduje obecnie lampy żarowe o bardzo wysokiej sile światła. W ostatnich czasach w fabryce tej została zbudowana lampa żarowa o sile 2,000 świec normalnych, która świeci z efektem, odpowiadającym efektowi lampy łukowej o tejże sile światła. Lampa ta posiada kilka pręcików, rozżarzonych przez prąd z maszyny dynamo-elektrycznej. Korzyść, jaką zapewnia lampa taka, polega na tem, że przy takiem samem spotrzebowaniu prądu kosztuje mniej, niżli węgle spalone w lampie łukowej. Prócz tego światło żarowe posiada więcej promieni żółtych, niż łukowe, jest tedy przyjemniejsze dla oka ludzkiego i łatwiej przenika przez mgłę. To też lampy takie znajdą zastosowanie przy oświetleniu portów, doków i dworców kolejowych, lub ulic.

Teatr — koncerta — widowiska.

Miłostki, tak zatytułował Artur Schnitzler 3. aktowy dramat, dany u nas po raz pierwszy na początku października. Po raz też pierwszy spotykamy się z nazwiskiem tego niemieckiego autora, podobno

wiedeńczyka i podobno rozpoczynającego, dopiero, swoją literacką karjerę. Jeśli tak — jest czego powinszować. *Miłostki* — to dramat rzetelnego talentu o własnych nogach. Forma literacka w nim świeża. a z powszedniej treści życia wydobył autor, i prawdę i piękność, i grozę... Każdy prawdziwy talent, o tyle jest silniejszy, o ile samoistny. Autor *Miłostek* jest samoistnym — tworzy z siebie. a nie odtwarza z drugich — ztąd praca jego robi wrażenie prawdziwej oryginalności literackiej. Ale to, co niemcy nazywają *moderne* i co u nas tak samo powtarza się na określenie podobnych objawów literackiej twórczości, jest banalnym, handlarskim predykatem, stosowniejszym za „ladę" kupiecką.

Grano u nas *Miłostki* z pewnością nie gorzej, jak w wiedeńskim nadwornym teatrze – w owym „Burgu" na który paragrafowy *jenteligent* lwowski, po największej części okrągły obskurent, lub kawiarniany estetyk, lubi się powoływać, gdy był w *Wiedniu*.

P. Żelazowski wybornie grał Jana — w grze tej spokojnej, nieco melancholijnej, była siła, była miara, był artyzm. Wcale dobrą Krystyną była p. Zimajer Rapacka.

P. Wostrowski z humorem i ze swobodą odegrał dobrego koleżkę, praktycznie uprawiającego „miłostki".

Grzmiące oklaski towarzyszyły, w całem znaczeniu tego słowa, świetnej grze p. Czaplińskiej w roli Mańki.

Ojca Krystyny, postać trzymaną na drugim planie w sztuce, grał z całą precyzją charakterystyczną p. Ruszkowski. Dwa epizody, choć jeden z nich jest osią, poza akcją niewidzialną, na której stanął cały dramat — odegrali, swoją drogą bardzo starannie pp. Gostyńska i Hierowski.

Najnowsza komedja Kazimierza Zalewskiego: *Syn*, mimo, że ją w Warszawie i w Krakowie już grano w ubiegłym sezonie, u nas dopiero za obecnej dyrekcji, po raz pierwszy przedstawioną została. O tej najnowszej pracy Zalewskiego, tak w krytyce, jak i wśród inteligentniejszej publiczności. która się literaturą dramatyczną interesuje, bardzo sprzeczne istnieją zdania. *Syn*, zdaniem naszem, jest satyrą z pewną tezą. Teza zawiera się w tem: czy jest ojcem ten, który nie będąc nim faktycznie, wychował dziecko troskliwie i z całą miłością, czy ten, który jest ojcem naturalnym, o dziecko nie dbał całe życie i dopiero nad grobem przypomniał sobie o tym obowiązku, a chcąc wynagrodzić zaniedbanie, rzuca synowi cały milionowy majątek. Otóż, zdaje nam się, że ta teza w życiu, nie jest właściwie żadną tezą — sytuacja, bowiem, syna zależy prawie od tylu okoliczności, ile może być takich wypadkow. Nie ma reguły pod tym względem i źleby nawet było. gdyby była. Można więc tezy w *Synie* nie brać wcale w rachubę. Głównie idzie o to, że bliższa i dalsza rodzina, jak kruki zleciała się nad łoże dogorywającego starca i chce rozdziobać jego milionowy majątek. Ludzie to wszystko wstrętni i nic nie warci. Dobrze więc się stało, że starzec, nie mogąc dać majątku naturalnemu synowi, bo ten go stanowczo odrzuca, zapisuje całą swoją fortunę zakładowi podrzutków.

Syn, jako dzieło dramatyczne, nie należy do najlepszych prac znakomitego autora, chociaż literackie zalety są niezwykłe. Rozwlekła monotonność w djalogach, jest wadą tej sztuki. a doprawdy, wydziwić się nie możemy, dlaczego autor takiego dużego talentu, jak Zalewski, posługuje się tyloma i takimi długimi monologami? W *Synie* jest ich coś dziewięć, a niektóre z nich trwają po kilka minut. Scen silnych. wzruszających, prawdziwych i doskonale skonstruowanych, nie brak w *Synie*.

Według naszego zdania, najlepiej narysowaną i najlepiej pomyślaną, jest postać Balusińskiego — grał ją też u nas p. Ruszkowski, co się zowie, przewybornie.

Ogromne zainteresowanie i entuzjazm wywołała gra p. Chmielińskisgo. w roli dogorywającego starca Olkszyckiego. Kilkanaście razy frenetycznymi oklaskami przywołano artystę, a to się we Lwowie zdarza tak rzadko, jak kartka na oknie kasy teatralnej z napisem: „kasa wyprzedana". Rzeczywiście, p. Chmieliński grał tę rolę mistrzowsko. Ale my nie z tej roli dowiedzieliśmy się, że p. Chmieliński jest artystą dużego talentu i równie dla wyższych interesów sztuki, jak i karjery aktorskiej, nie zwykły talent p. Chmielińskiego powinien być odpowiednio używany, a przedewszystkiem nie powinien leżeć odłogiem.

Z innych postaci, pani Stachowiczowa, choć nie zupełnie w swojej roli, potrafiła subtelną grą swoją zająć i w niektórych scenach zachwycić nawet uwagę publiczności. Bardzo pomysłowo i dobrze grał żyda p. Walewski, a z całą starannością odegrali swoje role, nie bardzo, zresztą. wdzięczne pp. Hierowski. Kliszewski, Nowacki. Otrembowa i Miłowska. P. Feldman grał tym razem intryganta, nie komicznego, lecz z gruntu złego, jakim jest w sztuce plenipotent Polkiewicz — grał go naturalnie dobrze. ale szkoda talentu p. Feldmana na takie postacie. Tytułową rolę odegrał p. Wostrowski — grał ją z zacięciem. z pewną artystyczną werwą — niektóre nawet sceny posiadały dużo naturalnego uczucia — mimo to artysta, jak już nieraz wspominaliśmy, musi i powinien zachować pewną miarę estetyczną, pewną łagodność konturow w grze. Mówią i piszą, że temu artyście grozi maniera. Młodemu wszystko grozi, bo mając przed sobą szmat życia i nieobliczone wpływy na swoją indywidualność, może być tem, czem nie myślał być i nie chciał. P. Wostrowski, jako aktor, może zająć bardzo wybitne stanowisko — ale zależy to nietylko od niego samego, lecz od różnych okoliczności. które, jeśli zdoła opanować, to wejdzie na to stanowsko, a jeśli nie, to będzie koło niego ciągle chodził... *Nietensam.*

Operetka rozpoczęła *Pumpmajorem*. Po co ten tytuł nie nasz i, co prawda, nie ze wszystkiem niemiecki, bo niemcy, co do pompowania, szczególniej drugich, to, rzeczywiście, inicjatorami są i wykonawcami, ale całą terminologję rycerską rownie, jak i cnót rycerskich i estetycznych, wypompowali od kogo innego. Naród ten, od początku, jak Bóg stworzył nic nie robi, tylko pompuje drugie narody...

Wypompowawali pp. Horst i Ska *Rewizora* Gogola, jakiś p. Neuman skomponował muzykę no, i zrobiła się operetka w 3. aktach. Naturalnie, dowcipne tło libretta i całą fabułę jego, humorystyczną i dosyć oryginalną zawdzięcza się nie wiedeńskim librecistom, lecz wypompowanemu przez nich Gogolowi.

Muzyka dosyć zręczna — ale też pompowana z rozmaitych studni. Oryginalności w niej niema wcale, a typowego kolorytu również — słucha się, jednak przyjemnie. — Wystawa operetki bardzo ładna, wykwintna. nawet, — efektowna i gustowna. — Grano *Pumpmajora* wybornie. Przedewszystkiem humorem i swobodną grą celował p. Bogucki. Doskonałem gubernatorem był p. Myszkowski. Ładnie śpiewali pp. Bohuss, Radwan, Orzelski i Kasprowicz. Całość szła raźno, harmonijnie i efektownie.

Jesteśmy na początku sezonu zimowego, chociaż jeszcze dość ciepło płacząca jesień otula nas swoim nieco już żółknącym płaszczem.

Letni teatr zamknął podwoje, zimowy je otworzył, odświeżył się, odrestaurował — odmłodniał.

Obecna dyrekcja, znacznym nakładem, bo kosztem kilkunastu tysięcy reńskich, odrestaurowała salę teatru hr. Skarbka, westybul, kurytarze, garderoby i przeróżne ubikacje — słowem, zrobiła wszystko, co mogła i jak mogła. Wnętrze teatru ma teraz wygląd wcale przyzwoity.

Szwankuje trochę na tak nazwanej przymusowej garderobie — nie dlatego, że ją zaprowadzono, bo tak być powinno, lecz z tej przyczyny, że nie ma odpowiednio przestronnego miejsca na garderobę, w skutek czego przy wydawaniu jej, zwłaszcza też, gdy publiczności jest dużo, panuje zamieszanie i za długo trzeba czekać na swoje rzeczy. Może to, jednak, da się usunąć jakoś, ale swoją drogą trudno będzie dyrekcji „ścian i miejsca gdzieś przysporzyć", chociaż „w domu swoim drzwi i serce swe otworzy"... A jednak kto wie? Obecna dyrekcja energją swoją, pomysłowością i starannością zadziwia, nawet tych, co z ukosa na nią patrzyli i jeszcze patrzą...

Damskie kapelusze stały się sporną kwestją garderoby. Dzierżawcy, czy dzierżawca garderoby najfałszywiej sobie interpretuje zakaz damski „kapeluszowy". Nie wolno jest paniom siedzieć w zwykłych kapeluszach, ale nie są je obowiązane składać do garderoby — mogą je trzymać na kolanach. Tak jest w Warszawie, tak jest w Krakowie, tak jest w całej Europie. Nadto, panie, używają umyślnie małych, niskich kapelusików, rodzaj ubrania głowy w teatrach, na koncertach i t. p. Te żadnym przepisom nie podlegają. Tymczasem. we Lwowie są z tego powodu przykrości i niczem nie dające się usprawiedliwić wymagania. Pomału. jednak, i publiczność lwowska, strasznie konserwatywna pod względem zwyczajów, oswoi się z nowym porządkiem i dyrekcja przekonawszy się praktycznie o wygodach, zaprowadzi co trzeba i usunie, co należy. Grunt. aby było podczas zimy w sali teatralnej ciepło — bo inaczej cała obowiązkowa garderoba w łeb weźmie; — zapewniają jednak, że po tych rekonstrukcjach, jakie obecnie zaprowadzono i po zbudowaniu kaloryferów, sala teatralna będzie dostatecznie ogrzana podczas nawet dużych mrozów.

Załatwiwszy się pokrótce z tem, co jest zewnętrzną stroną kroniki teatralnej, przystępujemy do wewnętrznej. o całe niebo ważniejszej.

Pod tym względem dyrekcja rozwinęła energiczną i bardzo dodatnią działalność.

Jeśli pójdzie tak dalej *crescendo*, to nastąpią dla polskiej sceny we Lwowie czasy zdrowego rozwoju literackiego i artystycznego.

Rzecz prosta. że tylko pisać będziemy obszerniej o „premierach", notując także ważniejsze „wznowienia" — drobne wiadomości, nie do nas należą — nie mamy dla nich miejsca i dla szerszego koła czytelników naszych, są one obojętne.

Inauguracyjny wieczór sezonu składał się ze znanego z innych scen prologu K. Zalewskiego: *Na Helikonie* i starej Majeranowskiego komedji: *Rej z Nagłowic...*

Prolog napisany wierszem białym, miejscami bardzo silnym — nie przekracza zwykłych granic szablonu prologowego. Trochę się dzieje na ziemi, trochę za ziemią. Skarżą się muzy. że źle jest, aktor realizuje. literat poetyzuje, a bożek słońca mówi: będzie dobrze i kwita. Jeśli prawdę mamy powiedzieć, z zasady, jesteśmy przeciwni wszelkim prologom — w formie, która doprawdy już się zużyła i zakrawa na inronję z tego, co ludzie robili i robią..: Szkoda Zalewskiego i jednego dużego talentu na takie literackie ekstrawagancje.

Na Helikonie, nie jest, ani gorsze, ani lepsze od tego rodzaju prologów — w których wszystko snuje się na górnolotnej deklamacji. Deklamowano też dobrze — równie muzy, jak ich przewodnik Apollo — i aktor z poetą. Muzami i to pięknemi muzami, ze wszystkiemi powabami wcale nie niebiańskich rozkoszy, choć na ziemię zagniewały się, były: pp. Bednarzewska, Gottowt Kwiecińska, Czaplińska. Otrembowa, Miłowska i Jankowska. — Aktora grał p. Wostrowski — poetę p. Walewski — Apollem był Woleński.

Rej z Nagłowic jest starą przeróbką z powieści tegoż autora. Literackich zalet nie posiada, artystycznych bardzo mało, i właściwie cały Majeranowski należy już do historyka literatury, a bieżąca krytyka teatralna może tylko ukłonić mu się z rewerencją zachowując milczenie pełne szacunku dla tego, co było...

Rej z Nagłowic dał sposobność p. Żelazowskiemu zbadać potężny zapas werwy, zapału i energji artystycznej w tytułowej roli, a p. Hierowskiemu przewybornie ucharakteryzować się za Zygmunta Augusta, którego również grał dobrze. Małe i niewdzięczne role grali pp. Stachowiczowa, Chmieliński, Otrembowa, Dębicki i Nowacki.

Nietensam.

Sztuce polskiej przybyły dwa nowe ogniska.

W Poznaniu objął dyrekcję tamtejszego teatru polskiego p. Edmund Ryger. Objął ją zdezorgonizowaną i przez poprzedniego dyrektora doprowadzoną do zupełnego upadku. Stanął więc na czele przedsiębiorstwa, wymagającego, nietylko większych wkładów materjalnych, lecz wielkiego zasobu zmysłu organizacyjnego, siły charakteru, wytrwałości i zdolności kierowniczych. P. Edmund Ryger, jeden z najwybitniejszych artystów dramatycznych polskich, gruntownie i wszechstronnie wykształcony, charakteru szlachetnego, a pojmujący swoje obowiązki poważnie i sumiennie — daje rękojmię zupełną, że teatr poznański postawi na stanowisku, na jakiem ta instytucja polska, znajdować się zawsze powinna. Gdy to piszemy, p. Ryger dopiero rozpoczyna swoją działalność, d. 1 października. Zorganizował on swój personal i znajdują się w nim bardzo wybitne talenta. Zawiązał też stosunki z autorami polskimi, od których ponabywał najnowsze dzieła. Repertuar zatem, teatru poznańskiego będzie obfity, doborowy i urozmaicony. Jak nam donoszą z Poznania, garderoba została wzbogacona, również, jak i dekoracje.

W Galicji znowu p. Jan Recki, utalentowany artysta śpiewak, który i na lwowskiej scenie występował, w spółce założył teatr pod nazwą *Teatr imienia Moniuszki*. Teatr ten główną siedzibę będzie miał w Stanisławowie, gdzie, jak wiadomo, istnieje gmach teatralny stanowiący własność Towarzystwa Moniuszki, a który, właśnie, p. Recki na dłuższy przeciąg czasu wydzierżawił. Ze Stanisławowa, teatr imienia Moniuszki wyjeżdżać będzie do większych miast Galicji, aby w nich dawać przedstawienia. P. Recki, jak na prowincję zorganizował olbrzymie towarzystwo, bo nie licząc służby, sam korpus aktorski sięga liczby sześćdziesięciu osób. Inaczej, jednak, być nie mogło, bo teatr imienia Moniuszki obejmuje dramat, komedję,

farse, operetkę, wodewil i operę. Siły też personalu tego teatru są wcale pokaźne i przy sprężystości i znajomości kierowniczej, mogą się stać dobrą i harmonijną całością. P. Recki, jest nietylko artystą utalentowanym i zdolnym, lecz wybornym reżyserem i informatorem, a przytem lubi i umie pracować. Jesteśmy przekonani, że teatr imienia Moniuszki pod jego kierownictwem z prawdziwym pożytkiem pracować będzie dla interesów sceny polskiej!

Praktyczne wiadomości.

Środek na muchy. Wiadomo, ile konie i bydło cierpią od much w gorącej porze roku. Uchronić się od tej klęski niepodobna, ale można ją choć cokolwiek złagodzić. Do tego służą obmywania ciała zwierząt rozmaitemi woniejącemi cieczami, np. wodą karbolową (40 gramów karbolu na 1 kwartę (litr) wody), co muchy odstrasza. W Ameryce powszechnie używają mieszaniny nafty z innym jakim tanim olejem. W Anglii znajduje zastosowanie odwar z liści orzecha włoskiego, którym obmywają całe ciało zwierzęcia: odwar ten niszczy też jajka składane przez muchy na ciele koni i bydła rogatego. Dla wystraszenia much ze stajni, zaleca się otwarte okna przyćmić drucianemi siatkami i urządzić przeciąg powietrza; przy bieleniu ścian, domieszać do wapna nieco ałunu, albo karbolu, ponieważ muchy tego zapachu nie lubią; części drewniane można pociągać olejkiem laurowym, gdyż ten jest dla much wstrętny: pod powałą należy zawiesić wiązki paproci, na których muchy tłumnie osiadają i łatwo mogą być chwytane i niszczone. Wszelkie gatunki much można w ciągu jednej nocy ze stajni wykurzyć, posypawszy na deskę chlorku wapna i przymknąwszy jedno okno; zapach tej soli wypędza muchy, dla bydła zaś jest on nieszkodliwy. Najlepszym jednak i najtańszym środkiem są jaskółki i inne owadożerne ptaki; należy zatem dozwalać im gnieździć się swobodnie pod okapem dachu stajen i obór; jeżeli jaskółki ulepią gniazda wewnątrz stajni, natenczas w pewnej odległości pod gniazdem trzeba umieścić dość szeroka deseczkę, na którąby spadał pomiot ptasząt; deseczkę tę należy od czasu do czasu oczyszczać z nagromadzającego się na niej guana. W jesieni, gdy jaskółki już odlecą, można użyć dobrego proszku od robactwa, który będzie tem skuteczniejszy, że o tej porze muchy są słabe i nieruchawe, i przesiadują w miejscach zabezpieczonych od przeciągu powietrza.

Beczki z papieru. Już od dłuższego czasu, wyrabiają w północnej Ameryce koła do wozów kolejowych i skrzynie wozowe z papieru machi, które są lekkie i wytrzymałe. Nawet cegły do murów wyrabiają z tego materjału. Obecnie rozpoczęto wyrabiać z papieru maché beczki szczególnie dla browarów przydatne. Beczki do piwa wyrabiają według patentu pewnego fabrykanta w Nowym Yorku, które w niczem nie ustępują beczkom dębowym. Fabrykant ten używa do swej mieszaniny papieru maché bardzo włóknistej trawy, znachodzącej się w wielkich ilościach pomiędzy New Yorkiem i Jersey City. Inny przedsiębiorca skonstruktował maszynę obsługiwaną przez dwóch ludzi, która formuje dziennie 600 beczek z masy papierowej. Skoro wyprasowana beczka opuszcza formę, przeciąga się osobnym lakiem, który gdy wyschnie, nadaje wygląd porcelanowy. Beczki te łatwo można oczyścić, a o ich gniciu nie ma nawet mowy. Co do kosztów fabrykacji tego rodzaju beczek, nie ma jeszcze pewnych danych.

Konsumcja mięsa króliczego. We Francji Belgji, Anglji coraz więcej szerzy się hodowla królików, dających ludowi zdrowe i tanie mięso. U nas ta gałęź przemysłu rolniczego przyjąć się nie chce, mimo najrozmaitszych nawoływań, broszurek, nawet Towarzystw. Za przykład i za zachętę niechaj posłużą szczegóły z innych krajów: W Londynie obliczono, że dziennie około 75 tysięcy królików bywa skonsumowanych. W Yorkshire na tak wielkie rozmiary urządzono tę hodowlę, że codziennie dostarczanych bywa 1200 królików. Po tysiącu miesięcznie dostarczają inne tego rodzaju zakłady. Biskup w Derby ma znaczny zakład hodowli królików i rocznie około 12 tysięcy ztamtąd wysyłanych bywa do Londynu. Z Ostendy tygodniowo około 300 tysięcy królików przesyłanych bywa do Londynu. Francja hoduje rocznie do 100 milionów królików, a mięso królicze zjadają i bogaci i ubodzy. Na centralnym targu paryskim miesięcznie około 300 tysięcy królików idzie na konsumcją.

Wytępywanie myszy i szczurów. Dla zwabienia myszy i szczurów do nastawionych pułapek, puszcza się na przynętę kilka kropel olejku z drzewa różanego. Zapach tego olejku tak jest dla tych zwierząt ponętny, że się nie mogą powstrzymać i bez pamięci biegną do tak zaprawionej przynęty w pułapce i wszystkie mogą być wyłapane. Olejku tego można dostać w każdej aptece.

Różne sprawy.

Z Tarnopola piszą nam: W ostatnich czasach przybyło w naszem mieście wiele ładnych domów, ruch budowlany rozwinął się ogromnie i stare, małe domki ustępują miejsca okazałym kamienicom, między któremi ogólną uwagę zwraca na siebie gmach kasy oszczędności, zbudowany stylowo, o rozkładzie nadzwyczaj dogodnym, gmach ozdobiony prześliczną ornamentyką, odznaczającą prawdziwym smakiem artystycznym. Budowę gmachu kasy oszczędności prowadzili lwowscy architekci pp. Masłowski i Boguchwalski, którym należy się pełne uznanie, za tę monumentalną budowę, która przedewszystkiem wymagała wielkiej rutyny w zakresie budowniczym.

Głośno omawiana od dwóch lat sprawa otworzenia szkoły ślusarskiej w naszem mieście, nie mogąc wybrnąć z fazy projektów, odłożona *ad calendas graecas.*

Nakładem K. Kozłowskiego w Poznaniu, wyszła w tych czasach *Złota książeczka* dla dzieci, zawierająca piękne przykłady o czwartem przykazaniu Bożem, t. j. o czci rodziców, krewnych, księży, nauczycieli i w ogóle starszych osób, zebrana i spisana przez Józefa Chociszewskiego. Książeczka przedstawia się nader interesująco, a zawarte w niej powiastki, wzbudzą niezawodnie niejedno szlachetne uczucie w serduszkach małych czytelników. Wydawnictwo to powinno się znaleść w każdym domu, gdzie jest choć jeden przedstawiciel światka „Milusińskich".

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Kilku abonentów w Ameryce. Dla Ameryki kredyt prenumeracyjny zmuszeni byliśmy zamknąć, bo nas wyprowadzono w pole.

N. Z. w Paryżu. To zbyteczne dla pisma nie codziennego. Co do ś. p. Kaczkowskiego, widzi pan, jak zrobiliśmy.

Pułkowniczka. Może być pani córką regimentu, ale nie poezji.

K. O. Y. w Chicago. Zobaczymy — tymczasem nie.

Q — q. w Krakowie. Co to może szerszą publiczność obchodzić?...

Autorom wierszy: „Cieszy się" „Wada", „Kochanek" — Jałopa" i „Bruzdy życia", — utwory panów drukowane nie będą.

Ksawerka. Umieścimy, ale prosimy być grzeczną i trochę poczekać.

Nadesłane.

Z niebywałem komfortem i elegancją urządzony zakład fotograficzny p. **D. Mazura** *przy ul. Pańskiej l. 5. we Lwowie.* Zastosowano tam wszelki najnowsze wynalazki i ulepszenia dla wykonania fotografij, to też fotografje pochodzące z tego zakładu nawet najwybredniejszych zadawalniają — gdyż wykonane są prawdziwie artystycznie, a pomimo to ceny takowych bardzo umiarkowane. (6578—4—2.)

Wszelkie papiery wartościowe i różnorodne losy kupuje i sprzedaje, oraz obcokrajowe pieniądze wymienia podług dziennego kursu (6402-3-3)

Dom bankowy i kantor wymiany

pod firmą **S. Geschwind w Jarosławiu.**

Hotel Metropol. Pokoje wraz z światłem, pościelą i usługą od 80 ct. Miesięcznie 15 zł. (6645—4—2.)

Doborowe sukna i materje wełniane w najmodniejszych wzorach na wszelkie ubrania, poznana fabryka firmy

Sternickel i Gülcher

w Białej w Galicji

(6582-st.-1).

Wyroby masarskie p. Luniaka w Białej coraz zyskują więcej odbiorców, nietylko w mieście i okolicy Szląska, ale i poza granicami monarchji austrjackiej, bowiem zakład masarski urządził p. Luniak na wielką skalę, wprowadzając najnowszego systemu maszyny przy pomocy których wyroby masarskie wszelkiego rodzaju wykonują się pospiesznie, nie tracą na dobrym smaku i świeżości, przyczem fachowe uzdolnienie samego właściciela, daje największą rękojmię tego, że wyroby masarskie pochodzące z jego zakładu muszą być poszukiwane.

W samym zakładzie p. Luniaka w Białej, panuje wzorowy porządek, czystość niezwykła w przyrządzaniu wyrobów i delikatesów wędlinarskich, a zamowienia wykonuje się spiesznie, i po najumiarkowańszych cenach. (6583-1).

Dr. Alfred Buresz

Adwokat krajowy (6581-2-2)

zawiadamia o otwarciu kancelarji

we Lwowie, przy ul. Jagiellońskiej l. 15.

Kupuje i sprzedaje wszystkie papiery bankowe i losy, oraz wymienia pieniądze obcych krajow po kursie dziennym (6403-3-3)

Dom bankowy i kantor wymiany

pod firmą **S. Ellenberg**

istniejący od roku 1797 w **Jarosławiu.**

Do szanownej wiadomości.

Czyniąc zadość ogólnemu żądaniu naszych Szanownych P. T. Odbiorców urządziliśmy w parterze obok naszego hurtownego

SKŁADU SUKNA

przy ul Kaźmierzowskiej l. 4 we Lwowie osobny oddział dla

SPRZEDAŻY DROBIAZGOWEJ

i zapraszamy niniejszem uprzejmie o zwiedzenie tegoż składu.

Handel nasz istniejący już od lat 12. zajmował się dotychczas jedynie sprzedażą hurtowną a ponieważ towar w wielkich ilościach wprost z fabryk austryackich i angielskich sdrowadzamy, jesteśmy przeto w stanie wszelkim wymaganiom zadość uczynić. Wybór sukna na ubrania damskie i męskie jest nader obfity.

Ceny stałe i bajecznie tanie.

Polecając się łaskawym względom Szanownej P. T. Publiczności, kreślimy się

Z głębokim szacunkiem

Maurycy i Sami Spiegel

ul. Kaźmierzowska l. 4.

(6567-4-2.)

Najmodniejsze jedwabie, aksamity plusze i materje wełniane, oraz główny skład chustek tybetowych, hurtownie i częściowo poleca 29 lat istniejąca firma **we Lwowie w Gmachu teatralnym Nr. 1.**

Simon Ziff.

(6558-8-2.)

MAGAZYN

krajowego Towarzystwa Handlowego

Rynek 26 (róg ul. Wiśniej) w Krakowie

poleca:

Bieliznę damską, męską i dziecinną w olbrzymim wyborze i po cenach jak najprzystępniejszych. **Kompletne wyprawy ślubne** jakoteż dla uczniów i uczennic. Płótna korczyńskie własnego wyrobu i zagraniczne szyrtyngi, oxfordy, kretony, Satyny i Batysty. **Nowości** na sukni. damskie gładkie i fantazyjne. Nadzwyczaj tanie Halki kretonowe, wełniane i jedwabne. — Parasole męskie, damskie. Chustki jedwabne na szyję i Szale szne lowe. **Znaczny wybór** Kołder wełnianych i jedwabnych, Kap na łóżka i koców. Pończochy, Skarpetki od najtańszych do najdroższych. Chustki do nosa w ogromnym wyborze od 90 centów tuzin **Konfekcya dla dam:** Bluzki, Szlafroki. Matinés według najświeższych sezonowych fasonów. — Największy skład oryginalnej bielizny prof. Jägera oraz trykotowej wełnianej i bawełnianej. (6563-4-2.)

Pierwsza Brodzka rafinerya

spirytusu, fabryka rumu i likierów

Braci KAPEŁUSZ

w Starych Brodach.

Skład na Zniesieniu

we Lwowie.

Poleca swoje najczyściejsze, bezwonne spirytusy na nalewki, jako też najlepsze rumy i rozolisy doznaczające się szlachetną jakością, oczem Szan. P. T. Odbiorcy przy próbnych zamówieniach przekonać się mogą. (6235-6-5).

Najpierwsza krajowa fabryka

BULIONU

ZYGMUNTA SOLKOWSKIEGO

W KRYSOWICACH p. MOŚCISKA

odznaczona medalami, dyplomem honorowem na wystawach krajowych.

Według orzeczenia Szanownego Towarzystwa lekarskiego krakowskiego, opartego na badaniach przedsiębranych przez Komisyę przemysłowa tegoż Towarzystwa, pozostającą pod przewodnictwem Prof. Dra Korczyńskiego, „bulion ten jest wydatny, ma smak przyjemny, daje się dłuższy czas przechowywać i odznacza się korzystnie znakomitą ilością istot wyciągowych. Ponieważ według rozbioru, dokonanego przez Prof. Uniw. Jagiell. Dr. Olszewskiego bulion ten zawiera więcej ciał organicznych, aniżeli rozmaite ekstrakta mięsne zagraniczne (Liebiga, Buchenthala, Kemmericha, Brühla i t. p.), co do ilości azotu z niemi na równi a niektóre nawet przewyższa, przeto może być używany z korzyścią nietylko jako bulion w ściśłem tego słowa znaczeniu, ale nadto w zastępie zagranicznych wyciągów, czyli ekstraktów mięsnych".

Do nabycia we wszystkich większych handlach korzennych.

Tylko wtenczas prawdziwy jeżeli jest w tabliczkach w kształcie **czekolady z napisem Z. Solkowski.** (6515—10—8)

Mydło z Murzynem

NIE MA OBAWY PRZED PRANIEM!!

Przy użyciu **patentowanego mydła z murzynem** pierze się 1000 sztuk w pół dniu nienagannie, czysto i pięknie bielizna trwa jeszcze raz tak długo jak przy użyciu innego mydła. **Przy użyciu patentowanego mydła z murzynem, bieliznę pierze się tylko raz zamiast trzy razy,** i nie używa się szczotek albo bielącego szkodliwego proszku. **Przy użyciu patentowanego mydła z murzynem** oszczędza się czas, materjał do palenia i siły robocze.

Zupełną nieszkodliwość potwierdza świadectwo c. k. rzeczoznawcy, przez sąd hand. ust. p. dr. Adolfa Jollesa.

(6377—12—9)

Do nabycia w większych sklepach korzennych.

Główny skład we Lwowie:

ALOJZY HÜBNER w rynku.

Jeneralny zastępca S. Łapajówker we Lwowie. Kotlarska l. 3

Galicyjski Bank kredytowy

począwszy od 1. lutego 1890 roku wydaje

4% Asygnaty kasowe

z 30-dniowem wypowiedzeniem i

3½% Asygnaty kasowe

z 8-dniowem wypowiedzeniem.

Wszystkie zaś znajdujące się w obiegu **4½% Asygnaty kasowe** z 90-dniowem wypowiedzeniem oprocentowane będą **począwszy od d. 1. maja 1890. po 4%** z 30-dniowym terminem wypowiedzenia.

Lwów, dnia 31. stycznia 1890.

5480 — st.

Dyrekcja.

(Przedruk nie będzie opłacony).

Wyborną Restaurację

na dworcu kolejowym

w Sądowej Wiszni

prowadzoną przez

H. HUTTER

poleca się podróżującej publiczności. Ceny tam bardzo umiarkowane.

a potrawy wyśmienite.

(6507-3-2).

Lwowskie

Laboratorjum Chemiczne

świadectwem z d. 24 marca 1892 do l. 1918, stwierdziło, że jedynie tutki niekleione z fabryki

S. W. Niemojowskiego

we Lwowie,

są znakomite i zdrowiu nieszkodliwe.

Do nabycia w sklepach:

S. W. Niemojowskiego

we Lwowie: Teatralna 3. Jagiellońska 6.

w Krakowie: Sukiennice 28.

oraz we wszystkich handlach i trafikach.

Zlecenia z prowincji odwrotnie przy 5.000 franco.

Ostrzega się przed licznemi naśladownictwami. (6370 10—1)

Przemysł krajowy.

Sukna Żywieckie.

Otworzona w r. b. w m. Żywcu (Galicja zach.) nasza **fabryka sukna** wyrabia **wszelkie** tkaniny w zakres sukiennictwa wchodzące, przeważnie zaś sukna gładkie i mundurowe **dla szkół, sokołów, straży ogniowych, wojska** i t. p., tudzież tkaniny czesankowe (tak zwane kamgarny. Z zamówieniami upraszamy aż do dalszego ogłoszenia, zgłaszać się łaskawie **wprost do nas** (stacja poczt. i telegr. Żywiec). Nadto naszym **zastępcą objazdowym,** upoważnionym do przyjmowania zamówień, jest p. **Stanisław Łysakowski,** b. inspektor składów fabryki Żyrardowskiej w Królestwie Polskiem. **PP. Kupcom i Stowarzyszeniom,** nabywającym nasze sukna w większej ilości, przyznajemy stosowne opusty. W obec tak żywo odczuwanej u nas potrzeby zaszczepienia w kraju przemysłu fabrycznego, mamy niepłonną nadzieję, że społeczeństwo krajowe domagać się będzie od PP. kupców i krawców zaopatrywania w sukna Żywieckie, które zresztą pod względem jakości i ceny nie ustępują wyrobom obcym. Tym sposobem najskuteczniej poparte będą usiłowania nasze, podjęte w celu podniesienia najbardziej **dotąd u nas zaniedbanego** przemysłu przędzalniczo-tkackiego.

„Żywiecka fabryka sukna

Bogucki, Kossut, Kamocki".

(6641-4-2.)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni Ludwika Arbaszewskiego, ul. Słowackiego l. 4.